

An illustration of a young child with curly hair, wearing a red shirt and dark pants, jumping joyfully on a grassy hill. A yellow kite with long, colorful streamers is flying in the sky above. The sky is filled with soft, golden clouds, suggesting a sunset or sunrise. The overall mood is joyful and nostalgic.

Barbara Kosmowska

Latawiec

ilustracje Emilia Dziubak

al

SPIS TREŚCI

6	Rozdział 1. Sztuka przeganiania smutków
18	Rozdział 2. Pokój z widokiem na światelko
28	Rozdział 3. Kiedy strach jest cięższy od latawca
40	Rozdział 4. Historia pewnej niewoli
50	Rozdział 5. Kamień w sercu, pogubione głowy i inne dramaty
60	Rozdział 6. Na tropie poetów i łowców przygód
72	Rozdział 7. Kisiel włoski ze smutków i troski
86	Rozdział 8. Spacery po życiu

100

Rozdział 9.
Kiedy ktoś, kogo kochasz, ucieka na wagary...

110

Rozdział 10.
Rozkład lotu latawca

122

Rozdział 11.
Szczęśliwe kobiety i dżentelmeni

132

Rozdział 12.
Mafijne piekło dwa razy

142

Rozdział 13.
Dwa magiczne słowa

152

Rozdział 14.
Zakłęcie, które zawsze działa

166

Rozdział 15.
Zawsze będę cię kochał

Rozdział 1

SZTUKA
PRZEGANIANIA SMUTKÓW



Mieszko wolno wracał ze szkoły. Zbyt wolno – powiedziałaaby mama, widząc, że jej syn przystaje na rogu każdej ulicy i poprawia sznurówki, choć wcale się nie rozwiązały.

Wolałby wracać jak kiedyś. Mknąć chodnikami, wyobrażając sobie, że jest odrzutowcem. Albo biec wolniej, ale płynnie, niczym szybowiec unoszony przez wiatr. Najbardziej by mu się podobało podskakiwać tak wysoko, żeby wszyscy w miasteczku myśleli, że oto przelatuje nad ich głowami piękny latawiec z wesołym ogonem. I musi być głodnym latawcem,



gdyż wpada przez lufcik małego domu na przedmie-
ściu prosto do kuchni pani Mileny. Tej samej, któ-
ra jest mamą latawca i ma najpiękniejszy uśmiech.
Może inne mamy też taki mają. Mieszko wcale tego
nie wyklucza.

Teraz porzucił tę dziecinną zabawę w samoloty.
Od czasu, gdy mama przestała witać go uśmiechem,
nie mknie do domu jak na skrzydłach. I nie cieszy go
obiad, który jeszcze niedawno znikał z talerza, jakby
Mieszko był czarodziejem.

– Hop! Abrakadabra, mika-fika, nie ma naleśni-
ka! – popisywał się swoim apetytem, a ona udawała
przerażoną.

– Ty wymiataczu naleśnikowy! – rozpaczała na
niby. – Zostaw trochę tacie, bo będzie musiał obejść
się smakiem!

Mieszko nigdy się nie dowiedział, jak to jest
obejść się smakiem. I ma poważne obawy, że tak już
zostanie. Od czasu, gdy tata wyjechał, obaw jest dużo
więcej, a wciąż pojawiają się nowe.

Na przykład czy wróci?



Mama unika odpowiedzi na to pytanie. Udaje, że wcale nie padło, albo szybko zmienia temat.

- Niepotrzebnie. - Mieszko uśmiecha się z politowaniem.

Mama pewnie myśli, że wystarczy wyszeptać zaklęcie i po kłopotcie. Ale to on jest czarodziejem i doskonale wie, że na niektóre poważne sprawy czar nie działa. Przecież sam próbował wszystkiego, by strach wyfrunął oknem, jak latawiec. Powtarzał wielokrotnie: „Hop! Abrakadabra, mika-fika, wszystkie strachy do lufcika!”

A strachy - ani myślały! Dalej trzymają się Mieszka jak najlepszego kumpla...

Wszystko zaczęło się psuć od czasu, kiedy tata coraz rzadziej wracał do domu. Najpierw wyjeżdżał na krótko. Budował szkołę w sąsiednim mieście. Mieszko nie był tym zachwycony.

- Szkoła? Kiepski pomysł - tłumaczył tacie. - Prawie nikt jej nie lubi! Wybuduj lotnisko! Miałbym blisko do pracy... - marzył. - Mógłbym czasami wylądować swoim samolotem na naszym trawniku, szybko zjeść obiad i polecieć dalej...



- ...A jeśli stawiam szkołę dla lotników? - droczył się z nim tata.

Wreszcie uzgodnili, że będzie to szkoła dla każdego, kto chce latać, jeździć i zwiedzać świat. Więc nie wiadomo, czy przypadkiem tata nie zapisał się na jakiś kurs, bo przyjeżdżał coraz rzadziej.

- To chyba moja wina, że teraz tak często zostajemy sami - zwierzył się kiedyś smutnej mamie. Nie wspomniał jej o kursie dla pilotów, dość miała swoich zmartwień.

- Skądże znowu! - zaprotestowała, udając, że nie płacze. - Wręcz przeciwnie! Dzięki tobie tata wciąż z nami jest.

Trudno Mieszkowi zrozumieć dorosłych. Zwyczajnie się obawia, że rodzice nie mówią prawdy. Ściemniają jak Leon, Tosi kuzyn, kiedy pytany na lekcjach udaje, że wie, a wszyscy wiedzą, że nie wie nic a nic.

Mieszko czuje się podobnie oszukiwany.

Kilka dni temu wspomniał o tym Tosi. To najlepsza koleżanka Mieszka. Tylko Tosia umie tak szybko i bezbłędnie liczyć jak on. I też zna zaklęcia, które raz







działają, a raz nie. Rozmawiali o tym całkiem niedawno. No i kiedyś, gdy Mieszko miał nogę w gipsie, ona jedna towarzyszyła mu przez kilka tygodni w drodze do szkoły. Szła wolno, obok, jakby też miała nogę w gipsie. Właśnie tak, zdaniem Mieszka, zachowuje się najlepsza koleżanka.

Powiedział jej ostatnio o tym smutku, który zamieszkał w jego domu. Teraz, jak tata wyjeżdża na długo, to smutek jakby go zastępuje. Wszędzie go pełno. Nie bałagani jak Mieszko, nie chrapie jak tata, nie ma o nic pretensji, ale wciąż krąży nad głowami, choć go nie widać.

– Może tylko w oczach mamy – dodał.

Tam łatwo go zauważyć. Choćby dlatego, że z kolei mama cały czas jest w domu! Przestała chodzić na treningi siatkówki, a przecież grała najlepiej ze wszystkich dziewczyn. No i nie biega. Nie wraca z tych leśnych tras zarumieniona i szczęśliwa. Mieszko chciałby znowu czekać na nią, żeby przybić piątkę i zapytać, ile kilometrów ma zapisać na tablicy domowych rekordów.

- Wszystko się zmieniło - westchnął bezradnie.

Tosia długo się zastanawiała, co odpowiedzieć Mieszkowi.

- Wiem, jak to jest - odezwała się wreszcie. - U nas też mieszkał... No, taki smutek. Może nawet ten sam, co wasz... Jak mój dziadek był w szpitalu... - wyznała cicho.

- To chyba inny - westchnął Mieszko. - Mój tata nie jest w szpitalu. Raczej obstawiałbym szkołę.

- A może zawsze, gdy kogoś nam brakuje, to musi być smutek? - zastanawiała się głośno. - Potem sam się wynosi, no wiesz, zwyczajnie znika i któregoś dnia całkiem o nim zapominasz.

- Tylko kiedy? - Mieszko spojrzał na Tosię z nadzieją. Zaczynał wierzyć, że jeśli ktoś mu pomoże, to tylko najlepsza koleżanka.

- Jak się już przyzwyczaimy...

- Można się do tego przyzwyczaić? Że kogoś brakuje? - Mieszko nie dowierzał.

- Chyba tak. Czasami trzeba. - Tosia popatrzyła w niebo. - Dziadek do nas nie wrócił. Z tego szpitala.





Mama mówi, że tęsknił za babcią i poszedł ją odnaleźć w chmurach. Nie sędzę, żeby babcia była tyle lat w chmurach, ale wszystko możliwe...

- Kiedyś będę pilotem. - Mieszko spojrzał na Tosię z sympatią. - I obiecuję ci, że sprawdzę dokładnie, co się w tych chmurach dzieje.

- O! Super! - ucieszyła się, ale nie uśmiechnęła tak szeroko jak zwykle. - A jak ci znowu będzie smutno, to pomyśl, że taty nie musisz tam szukać. - Wskazała czubkiem brody niebo. - Zawsze możesz z nim pogadać, wiesz, tak normalnie.

- Z dziadkiem masz gorzej - zgodził się Mieszko.

- Pewnie! - przytaknęła. - Muszę mocno zamknąć oczy i dopiero wtedy go widzę, jak mnie uczy pływać albo zjeżdżać na nartach.

- To też jest fajny sposób - mruknął z uznaniem Mieszko.

- Noo. A czasami się zdarza, że zimą z nim pływam, a latem mam narty na nogach! Bo nigdy nie wiem, co mi się przypomni - dodała szeptem i oboje parsknęli śmiechem.

„Tak, Tosia jest bez wątpienia świetną koleżanką” – pomyślał teraz, przyśpieszając. Mama nie ma takiego dobrego kolegi, więc to on, Mieszko, powinien przeganiać te nieszczęsne smutki, zamiast wlec się po lekcjach leniwie, jak stuletni żółw w czerwonych trampkach.

I chyba się udało! Musiał przegonić jakieś wielkie stadko smutków, bo gdy zbliżał się do domu, nagle zauważył dawno niewidziane w tej okolicy słońce, usłyszał psa sąsiadów, witającego go radosnym poszczekiwaniami, i dostrzegł te czerwone, wielkie kwiaty, które już się zaczynały puszyć przy parkanie. Nie znał się na kwiatach, ale te kwitły zawsze przed wakacjami, więc ich widok cieszył go co najmniej tak, jak obietnica wycieczki paralotnią. Poczuł się nagle bardzo szczęśliwy i postanowił nie pytać dziś mamy, kiedy przyjedzie tata.

Przecież kiedyś znowu go odwiedzi.



Z KSIĘGI TAJEMNIC:

Tak się zastanawiam nad tym, co powiedziała Tosia... Myślę, że na pewno jest łatwiej, kiedy twój tata nie siedzi w żadnej chmurze, a jest w takim miejscu, z którego zawsze może przyjechać. Kiedy jednak nie przyjeżdża, to już gorsza sprawa. Tęsknisz każdego dnia od nowa, co jest okropne i tego za nic nie da się zrozumieć. Bo przecież masz supertatę! Najlepszego na świecie, czyli takiego, co też za tobą powinien tęsknić.

Rozdział 2

POKÓJ
Z WIDOKIEM NA ŚWIATEŁKO





To niebywałe! – Mieszko wlepiął wzrok w miga-
jące w oddali światełko. Mrugało do niego
przyjaźnie z wrzosowego wzgórza. Momentami zni-
kało, jakby przeganiał je wiatr. A gdy tylko wichura
cichła i nieruchomiały gałęzie starych drzew, świa-
tełko znowu zaczynało się tlić i przebijać przez
ścianę mroku. Nie wierzył własnym oczom! – Jak
to możliwe? – szepnął, mocno przyklejając nos do
szyby. Nie miał żadnych wątpliwości. Doskonale
wiedział, skąd sączy się wąły strumyczek światła.



Znał stare wrzosowisko lepiej niż ogród mamy. Każdy kamyk, każdy krzew głogu. Wiatrołomy i lisie nory! Mógłby nawet powiedzieć, że właśnie tam nauczył się chodzić, bo rodzice zabierali go na wrzosowe wzgórze od czasu, gdy tylko pojawił się na świecie. Kochał to miejsce. Pewnie dlatego dostał pokój z widokiem na zbocze, które najpierw pokonywał na plecach taty, wtulony w jego szyję, potem dreptał po nim samodzielnie, choć z wielkim mozołem. Aż wreszcie potrafił zwinnie i szybko, niczym leśna jaszczurka, znaleźć się na samej górze. To z niej puszczał latawce. Najczęściej wiosną i jesienią.

Zawsze, czy to z rodzicami, czy sam, najpierw docierał do starego domku obrośniętego dzikim winogronem. Domek, nazywany przez rodziców chatką Alberta, wyrastał z okalających go bzów w połowie drogi na szczyt wzniesienia i był od dawna opuszczony. Mama uwielbiała rozkładać koc na kamiennych schodkach prowadzących do wejściowych drzwi. Stawiała tam koszyk z kanapkami i otwierała książkę.

- Ja tu zostaję na kilka dłuższych wspomnień - mówiła - a wy zdobywajcie Wzgórze.

Mieszko nie rozumiał, o co chodzi z tymi wspomnieniami, więc tata mu wyjaśnił, że to tak, jakby mama oglądała stary film o sobie. I o Bożence - dodał.

Bożenka mieszkała tu latem z rodzicami i była letnią przyjaciółką mamy.

- Są przyjaciółki na różne pory roku? - dziwił się Mieszko, gdyż uważał, że przyjaciółki to nie buty. Powinny być idealne na każdą porę. Nie omieszkął podzielić się tym przemyśleniem.

- Masz rację! - śmiał się tata. - Ale Bożenka spędzała tu tylko wakacje. Potem obie z mamą wyrosły. Wzgórze opustoszało, bo nikt już nie przyjeżdżał do chatki. I choć nie widziały się wiele lat, wciąż czasami do siebie dzwonią.

Mieszko lubił te opowieści o wakacjach mamy. Wyobrażał sobie zawsze dwie małe dziewczynki, które na kamiennych schodkach robią kolorowe kanapki, a potem czytają książki. Jedna była naprawdę mała,



a druga wyglądała jak jego mama, no może tylko nie miała kucyków.

Teraz, kiedy patrzy z niepokojem na bezgwiezdne niebo i dostrzega raz za razem wątłe światło w oddali, wie, że się nie myli! Nie może się mylić!

Ktoś był w chatce Alberta!

Tej nocy nie mógł zasnąć. Kilka razy stawał przy oknie, ale wzgórze spowijała nieprzenikniona ciemność. Zaczynał wątpić w to, co zobaczył wieczorem. Wystarczyło jednak, że przykrył się kołdrą i mocno zacisnął powieki, a powracał obraz światła przebijającego się przez mrok. Jakby chciało dotrzeć do Mieszka z ważną nowiną, zatrzymywane przez wiatr, drzewa i gęste chmury wiszące nad wrzosowiskiem.

Wiedział, że następnego dnia musi tam pójść. Upewnił go w tym płytki sen, w którym piął się po zboczu z latarką. Potykał o wybujałe korzenie. Ranił nogi ostrymi kolcami dzikiej tarniny.

- Hop! Abrakadabra, mika-fika, nie boję się sowy ani puszczyka! - dodawał sobie odwagi ulubionym



zakłębem. Serce biło mu tak głośno, że nie słyszał nocnych ptaków, zaczajonych na starych gałęziach. Gdyby opadły na niego czarną chmurą, zawróciłby z drogi i rzucił się w ramiona taty, który pojawił się niespodziewanie i domagał, aby Mieszko oddał mu latarkę. Głos taty został daleko w tyle, a on parł do przodu. Nie czuł deszczu na piżamie w niebieskie samoloty. A gdy wreszcie dotarł do chatki Alberta i przywarł do próchniejącego okienka, zobaczył w nim mamę.

Mama była radosna i uśmiechnięta jak dawniej. Być może zauważyła buzię Mieszka w szparze starego okna, ale nie dała tego po sobie poznać. Dawno jej nie widział tak szczęśliwej. Miała na sobie biały fartuch, w którym sprzedaje leki w aptece. I rozpuszczone włosy. Przez te włosy bardziej przypominała aktorkę niż mamę. Chodziła tanecznym krokiem po małej izbie i podlewała kwiaty. Właściwie to nie kwiaty, bo z maleńkich doniczek wyrastały kolorowe kanapki. Pamiętał je z dawnych pikników na wrzosiśkach. Mama obchodziła się z nimi bardzo ostrożnie, jakby były najcenniejszymi roślinami na ziemi.



Mieszko mógłby tak moknąć i patrzeć na nią godzinami, gdyby sama nie zepsuła tej pięknej chwili. Bo stała teraz nad nim, trochę zagniewana, i ściągała kołdrę, której się kurczowo trzymał.

- Wstawaj, śpiochu! - powtarzała z uporem. Ale Mieszko nie zamierzał wcale łatwo się poddać i wykonał ulubiony manewr ucieczki pod prześcieradło. Dopiero magiczne słowo „omlet” sprawiło, że oprzytomniał, a nawet szybciej niż zwykle zbiegł do kuchni ubrany na śniadanie.

- Lubię zimne omlety! - ubiegł pretensję mamy. Uśmiechnął się do niej, zmartwiony, bo nie dostrzegła jego uśmiechu i znowu była smutna. - Myślę, że ktoś zamieszkał w chatce Alberta - odezwał się z pełną buzią, sięgając po szklankę z mlekiem. - Widziałem tam światełko.

- Niemożliwe. - Podniosła na niego niewyspane oczy.

- To skąd światełko? - zapytał z przekorą.

- Widziałeś światełko? Może znowu odbywają się tam nocne marsze na orientację? Kiedyś wzgórze







tętniło życiem... - rozpoczęła z ożywieniem, ale szybko skończyła temat. Mieszko już dawno zauważył, że każde „kiedyś” wprawia mamę w zły nastrój.

- Wybieram się dziś na wrzosowisko - mruknął znad talerza. - Mogę? Dziś jest, mamó, sobota - uprzedził pytanie o szkołę. - A lekcje odrobiłem wczoraj - odebrał jej ostatni argument.

- Sobota, mówisz? - Podniosła ze zdziwienia brwi. To okropne, że bywała taka rozkojarzona.

- Jeśli chcesz, zostanę z tobą - zaofiarował się, drżąc, że tego zapragnie. Ale miał szczęście. Zastąpił go ciocia Wisia, siostra taty. Ona lepiej od Mieszka rozumie te dorosłe sprawy, przez które mama wciąż jest taka smutna.

- Idziesz dziś z latawcem? - Uśmiechnęła się z przymusem.

- Nie. Jeszcze go nie skończyliśmy... znaczy nie skończyłem - poprawił się szybko, zły, że tą liczbą mnogą sprawi mamie przykrość. - Chyba znalazłem jeszcze lepszy pas startowy - dodał. Trochę było mu

przykro, że nie mówi całej prawdy, ale przecież również nie kłamie.

Chatkę Alberta będzie mijał, wspinając się po zboczu. A że przy okazji do niej zajrzy... No cóż, nie pierwszy raz stanie na kamiennych schodkach i nie ostatni będzie próbował zajrzeć do środka. Zresztą nie było na całym świecie dziecka, które wspinając się na szczyt, nie zajrzałoby do opustoszałej kryjówki. A skoro nie ma takiego dziecka, cóż w tym dziwnego, że Mieszko zamierza spędzić trochę czasu na dokładnym ustaleniu, kto zamieszkał w chatce Alberta. Bo nie miał najmniejszych wątpliwości, że małe światelko na wzgórzu skrywa wielką tajemnicę.

Rozdział 3

KIEDY STRACH JEST CIĘŻSZY OD LATAWCA



Wspinanie się po zboczu jest dużo przyjemniejsze, kiedy idziesz z latawcem albo lekkim plecakiem” – myślał Mieszko, przemierzając wysokie trawy otoczone kępami wrzosów.

Ale dzisiejsza wyprawa miała charakter szpiegowski, więc musiał wziąć lornetkę, Księgę Tajemnic i butelkę z wodą. „To na wypadek, gdyby ktoś chciał mnie uwięzić” – usprawiedliwiał się sam przed sobą.

Przystanął i z niepokojem pomacał swój bagaż. Uff. Na szczęście zabrał kolorową kanapkę mamy!





W razie kłopotów nie grozi mu przynajmniej śmierć głodowa. Natomiast każda inna, owszem. Ale nawet ta przerażająca wizja nie zawróciłaby Mieszka z raz obranego kursu. W końcu chciał zostać pilotem, a wiadomo, że to zawód tylko dla odważnych.

Na wszelki wypadek wyszeptał zaciśniętymi ustami swoje ulubione zaklęcie. „Hop! Abrakadabra, mika-fika, wszystkie strachy do śmietnika”. Poprawił ciężki plecak i ruszył przed siebie.

Zatrzymał się dopiero na małym skalnym wyłomie. Widział stąd chatkę Alberta jak na dłoni. Umościł się na wrzosowym posłaniu, wyciągnął lornetkę i czekał.

Przez dłuższy czas nic się nie działo. W pobliskich krzakach śpiewały ptaki, lekki wiatr potrząsał gałązkami jałowców i pachniało wokół ciepłym lasem. Nagle wolno, jakby niechętnie, otworzyły się wejściowe drzwi. Te same, które od lat były zabezpieczone metalową sztabą! Mieszko dałby głowę, że słyszy, jak skrzypią. Ale teraz głowa była mu potrzebna do ważniejszych spraw. Drżał z przejęcia, zastanawiając się,

kto za moment wyjdzie z ukrycia. Bo przecież po to otwiera się drzwi. Aby wyjść lub wypuścić psa...

- Noo... Czasami także wtedy, gdy ktoś na kogoś czeka... - Poczuł, jak drży, bo nagle zrozumiał, że w tych drzwiach nikt nie stanie. To on będzie musiał przez nie przejść, jeśli zawczasu nie zrezygnuje ze swojej misji.

Minęła długa chwila. Drzwi wciąż podrygiwały, niepewne, czy się z hukiem zamkną, czy dalej straszyc Mieszka otwartą paszczą z próchniejącego drewna. Z każdą minutą nabierał pewności, że czekają właśnie na niego i jeśli teraz opuści swoją kryjówkę, uciekając w przerażeniu do domu, nigdy nie dowie się, kto je otworzył. Kto wdarł się do chatki Alberta i nocą wysyłał mu zaproszenie zagubionym w ciemnościach światłem.

- Teraz albo nigdy - zdecydował. Otrząsnął ze spodni resztki trawy, ukrył lornetkę w plecaku i ruszył w stronę domu, mrucząc cichutko: - Hop! Abrakadabra, mika-fika, dzielnych pilotów lęk nie dotyka. Halo, jest tu kto? - zapytał jak najgrubszym głosem, stojąc





w progu. Starał się przybrać pozę dzielnego kowboja. Lekki rozkrok, ręce na biodrach... Od razu poczuł się rażniej. Odpowiedziała mu cisza, więc jeszcze grubszym głosem zadał to samo pytanie: – Czy ktoś tu jest?

– A kto pyta? – usłyszał za plecami.

Okręcił się błyskawicznie. I choć jego ruchy były wystarczająco odważne i do tego zdecydowane, to mina Mieszka już nie.

Nic dziwnego! Ten drugi głos należał do kogoś, kto patrzył na niego z góry, bez uśmiechu. Miał nastroszone brwi i również przyjął kowbojską postawę. Lekki rozkrok, ręce na biodrach.

„Dobrze, że mam wodę i kanapkę” – pomyślał Mieszko, opuszczając wzrok.

– Czy kawaler będzie uprzejmy się przedstawić?

„Tak wygląda przestępca albo zbieg” – ocenił szybko Mieszko i natychmiast sam rzucił pytanie:

– Czy pan jest przestępcą albo zbiegiem i tu się ukrywa?

– To nieładnie odpowiadać pytaniem na pytanie. – Morderca albo zbieg błysnął zębami, co mogło

oznaczać, że albo jest głodny (oby nie!!!), albo próbuje się uśmiechnąć. – Wobec tego ja się przedstawię – mruknął. – Jestem... trochę zbiegiem. Ale to tajemnica. Twoja kolej.

– Mieszko – odszepnął Mieszko ledwo słyszałnie. – To nie jest tajemnica, chociaż też mam swoje sekrety! – dodał szybko, żeby tamten sobie nie myślał, że tak łatwo Mieszkowi zaimponować.

Zbieg, a być może i przestępca, pokiwał głową.

– Rozumiem – powiedział z powagą. – Szanuję tajemnice. Uważam, że każdy ma do nich prawo.

– Ja też szanuję! – zapewnił żywo Mieszko. – Teraz pójdę sobie do domu i nikomu nie powiem, że spotkałem zbiega albo....

– Albo? – Nastroszone brwi drgnęły złowrogo.

– ...albo przestępcę – wymówił cicho Mieszko, zły na siebie, że nie potrafi szybko kłamać. Taki na przykład Leon, kuzyn Tosi, kłamie jak z nut, co oznacza, że chyba śpiewająco...

– Czy ja wyglądam jak jakiś zbój? – zniecierpliwił się starzec.





- Tak! - Mieszko pokiwał głową, mocno potakując.

- Poza tym uciekinier to nie zawsze jest zły człowiek - ciągnął nieznajomy, wprowadzając chłopca w osłupienie.

- Nieprawda! Jeśli ucieka, to ma coś do ukrycia albo... na przykład jest oszustem! - Mieszko podniósł wreszcie wzrok, wpatrując się w surowe oblicze tego dziwnego mężczyzny.

- Do ukrycia na pewno - zgodził się z nim. - Ale od razu oszust? Nie uciekałeś nigdy przed kłopotami? Albo na przykład... ze szkoły? - zapytał podstępnie.

Takie pytanie nie było, zdaniem Mieszka, w porządku. Dlatego opuścił głowę i manipulował przy rzemkach plecaczka.

- Ociupinkę uciekałem - bąknął w końcu. - Ale ze szkoły tylko raz, przed dyktandem, bo rozboleło mnie gardło. Na niby, a mama myślała, że naprawdę...

- Więc odwiedził mnie trochę tchórz i trochę oszust? - Nieznajomy się roześmiał. I gdy tak się

zaśmiewał, Mieszko zauważył, że ma całkiem miłą twarz, choć mocno pomarszczoną.

- Wcale nie! - zaprzeczył stanowczo Mieszko. - To pan mnie odwiedził! Ta chatka... My się nią opiekujemy! Mama, no i wiadomo, ja też! Zawsze tu przychodzę puszczać latawce. Od dziecka - dodał, gdyby ten jegomość sądził, że Mieszko jest jakimś dzieckiem. - A wczoraj zauważyłem... Zaniepokoiłem się, bo...

- Ach tak? - Starzec się uśmiechnął. - To ja bardzo ci dziękuję...

- Nie ma za co - odpowiedział bezmyślnie Mieszko. - Nie można wchodzić do cudzego domu!

- Na szczęście to moja chatka! - Zbieg albo przestępca wciąż miał nieodgadniony wyraz twarzy. - Zatem dziękuję, że tak dobrze strzeżesz tego miejsca - dokończył swą myśl, patrząc uważnie na chłopca.

Mieszko znieruchomiał. Oparł się o parapet, na którym w jego śnie stały doniczki z kolorowymi kanapkami.

- Czy to znaczy, że pan ma na imię... - rozpoczął niepewnie.





- Albert. - Nieznajomy skinął głową. - Mam na imię Albert i sam tę chatkę kiedyś zbudowałem.

- To musi pan znać moją mamę! - wykrzyknął Mieszko, głośniejszym głosem niż zamierzał.

- Znam ją w istocie - odpowiedział domniemany Albert.

- W jakiej istocie? - Mieszko postanowił być czujny.

- Tak się mówi. - Zbieg lekceważąco machnął ręką. - A twoją mamę znam dłużej niż ty! Chcesz dowodów? - zapytał szeptem, jak prawdziwy przestępca.

- Poproszę. - Mieszko szybko przybrał pozę seryfa, nogi w lekkim rozkroku, ręce na biodrach...

- To potrwa sekundę - zapewnił pan Albert i zniknął w sąsiednim pokoju. Po chwili stanął przed Mieszkim z albumem pełnym zdjęć. - Spójrz tylko - mruknął, szperając między stronami. - Poznajesz?

Na czarno-białej fotografii stał roześmiany mężczyzna, a po jego bokach dwie dziewczynki. Cała trójka wydała się Mieszkowi doskonale znana. Ależ tak! To samo zdjęcie wisiało w pokoju rodziców! Bożenka

i Milenka w chatce Alberta! I on sam, właściciel domku. W stroju podróżnika, z naręczem drewna do kominka...

- Tylko mi nie mów, że się postarzałem! - ostrzegł Mieszka groźnym głosem pan Albert. - A ciebie, młodzieńcze, poznałem już od progu! Wykapana mama!

- Jestem wykapaną mamą?

- Nie. Mieszkciem. Tyle że bardzo podobnym do mamy. - Zakończył, odkładając album.

- Ale super! - ucieszył się Mieszko. - Bo ja nie powinienem rozmawiać z obcymi. Na szczęście pan wcale nie jest obcy!

Z wrażenia przestępował z nogi na nogę, a w jego głowie powstawało tysiące planów. Najpierw podzieli się tą nowiną z mamą! Na pewno będzie szczęśliwa i zaprosi pana Alberta na obiad! No i powie Tosi, kogo wreszcie poznał! Może nawet razem się tu wybiorą? Tata pewnie też chciałby wpaść! Zawsze powtarzał, że wrzosowisko to nasze siedlisko. Mieszko nagle zmarkotniał, bo wcale nie był pewny, czy tata dalej tak myśli...





Mówił o tych swoich pomysłach trochę nieskładnie. Może zbyt szybko, może i nie po kolei, bo w pewnym momencie zauważył strapioną minę rozmówcy.

- Mamy mały problem - westchnął pan Albert. - Wspomniałem, że jestem zbiegiem. Dlatego wolałbym, aby na razie nikt nie wiedział, że tu mieszkam.

- Niestety, ja już wiem... - strapił się Mieszko.

- Pozwól, że sam powiem twojej mamie o naszym spotkaniu.

- Mam kłamać, że się nie znamy? - zmarkotniał.

- Wystarczy, że dochowasz tajemnicy.

- Ale to dobry sekret? - upewnił się.

- Nie zamierzam nikomu robić krzywdy. Wręcz przeciwnie - odparł starzec.

- Przekona pan mamę, żeby... żeby mógł tu przychodzić?

- Oczywiście! Jesteś stróżem chatki, a ja twoim dłużnikiem - dodał. - Mam nadzieję, że się zaprzyjaźnimy.

- Wtedy musi mi pan zdradzić swoją tajemnicę. Bo co to za przyjaźń, jak są same sekrety?

- Żadna - zgodził się pan Albert. I Mieszko zrozumiał, że temat został wyczerpany.

Droga do domu nigdy nie wydała mu się taka krótka. Może dlatego, że wracał w radosnych podskokach, odprowadzany przez nowego znajomego? A może wciąż rozgrzewała go pyszna herbata, którą pił, przeglądając album pana Alberta? Nigdy nie widział tylu zdjęć mamy i jej letniej przyjaciółki. Obie bardzo ładne i uśmiechnięte. Raz w wiankach ze stokrotek, raz na hamaku, innym razem z kółkami hula-hoop na zielonej łące...

- Wcale się nie dziwię, że mama lubiła spędzać wakacje w chatce. To chyba rodzinne - powiedział na pożegnanie, kiedy już obaj stanęli niemal przed domem. Cieszył się, że za kilka, no może kilkanaście, a w najgorszym wypadku kilkadziesiąt godzin znowu wyruszy na wrzosowisko.

Przynajmniej tam, w połowie drogi na szczyt wzgórza, nie czuł się samotny.

Fragment książki „Latawiec”

Napisała Barbara Kosmowska

Zilustrowała Emilia Dziubak

Wydawnictwo Agora dla dzieci
agoradladzieci.pl

Książka wpisana na Złotą Listę
„Cała Polska czyta dzieciom”

